

Jarosław Grzędowicz

Wilcza zamieć

*Bracia bić i zabijać się będą,
Dzieci sióstr rodzonych związki krwi kalają,
Czasy szaleństwa, bezwstydu, cudzołóstwa,
Wiek topora, wiek miecza i tarcz strzaskanych,
Wiek zamieci wilczych, nim świat w przepaść runie.*

*Völuspa – Wieszcza Völvy
Atlantyk Północny
Wrzesień 1944*

64°27' N 13°11' W
stan morza – 3
wiatr – 4B NNW

Świat zalany ołowiem, pomyślał Reinhardt, wciskając się między chrapy a kolumnę peryskopu, by utrzymać równowagę na chybotliwym pokładzie. Ołowiane morze marszczyło się długimi, gładkimi falami przypominającymi fałdy na dywanie. Ciężkie, sine niebo wisiało nad głowami jak nagrobna płyta. Dziób okrętu wbijający się w kolejne fale również był szary. Podobnie jak twarz stojącego obok Fanghorsta. Marynarz wyglądał jak dziwaczny stwór o lśniącej, czarnej skórze i z oczami wystającymi z głowy na dwóch czarnych szypułach. Ciekawe, czy kiedykolwiek zdoła oderwać lornetkę od twarzy? Nawet bryzgi piany, wykładające się w odkosach dziobowych i zwieszające jak festony ze spychacza sieci, wydawały się szare. Ołowiany świat. Słyszał tylko świst wiatru i dźwięczne, głębokie uderzenia fal o zbiorniki balastowe jak o pustą beczkę. W szklach widać było dwie szare płaszczyzny – ciemniejszą na dole i jaśniejszą na górze. Przecięte niemi podziałki, nieznośnie monotonne i puste.

– Wracamy do domu, panie *Oberleutnant*? – zapytał Fanghorst. Z tyłu mat Zemke przepatrujący swój kwadrant tylko parsknął.

– A gdzie się panu niby tak spieszy? – mruknął niewyraźnie Reinhardt, przygryzając ustnik fajki. – Do tych blaszanych baraków i fiordów? Tam jest gorzej niż tutaj.

– Trondheim! – zawtórował mu z tyłu Zemke, cedząc to słowo jak ordynarne przekleństwo. – Zastrana świńska dziura! Nawet nie ma gdzie postawić patyka! Jak pomyślę o St. Nazaire...

– W St. Nazaire pewnie już są Tomki i ciupciają tę twoją Żermę, aż iskry lecą.

– Ma szansę się zrehabilitować – dorzucił któryś. – Musi odstawić tylko pięć patriotycznych numerków za każdy kolaboracyjny, szwabski sztos z tobą.

– Dość rajdania – warknął Reinhardt. – Zaraz nadleci jakiś Tomek i zrobi ci Trondheim z dupy! Jeszcze tego brakowało. Nadciągał dyżurny Temat Numer Jeden. Już i tak cały okręt od przedziału torpedowego po maszynownię rozbrzmiewał Tematem Numer Jeden. Gówniarze wyżywali się w gadaniu. Jeszcze tylko brakowało tego na pomoście podczas wachty. Można było dostać kiły od samego słuchania.

Zemke ucichł natychmiast.

Wszyscy wyglądali jak lśnięce, czarne kukły. Zapięci szczelnie w ubrania sztormowe, tak żeby pomiędzy postawionym kołnierzem uszczelnionym ręcznikiem a okapem zudwestki mieściły się tylko okulary lornetek.

Przepatrywać horyzont. Minuta po minucie i stopień po stopniu. Każda plamka, która pojawi się w tej szarej, ołowianej nicości, to może być cholerny hudson z brzuchem pełnym bomb

głębinowych.

Albo mewa.

Atlantyk nie należał już do nich. Wilki zamieniły się w zwierzynę.

Korba rygla zakreśliła się, a potem ostrożnie uniesiono właz. Człowiek, który stał na drabince, najwyraźniej uważał, że nie jest odpowiednio ubrany na spacer w taką pogodę. Boczna fala łupnęła o kiosk i zasypała ich gradem lodowatych kropli.

– Szyfrogram do pana pierwszego oficera!

Reinhardt opuścił lornetkę i rozmasował zdrętwiałe palce. Odczekał kolejne przejście fali, a potem wystukał fajkę o stalowy falochron. Pedantycznie – od zawietrznej, żeby popiół i iskry poleciały w morze. W środku wszystko mu się gotowało. Szyfrogram. Zamiast rozkazu powrotu szyfrogram. Przekiek nad kolektorami głównego zbiornika balastowego, przeciek przy oringach lewego wału śruby, brak żarcia, dwie tony paliwa, jedna jedyna torpeda w rurze. Chrapy biorą wodę.

Wgnieciony cudowny, nowiutki kadłub elastyczny. Wylane osiem akumulatorów, zbocznikowane jakimiś śmieciami. A oni przysyłają szyfrogram. I to jeszcze taki, którego nie może rozłożyć radzik. Chłopak zapewne przepuścił już wszystko przez Enigmę i zobaczył tylko słowo „pierwszy oficer”, a potem ciąg literowo-cyfrowych bzdur.

Niedobrze. Szyfrogram jest jak nagły telegram. Nigdy nic dobrego.

Reinhardt otworzył właz i zszedł na dół, starannie stąpając po szczeblach. Rozkosz. Nie trzeba zjeżdżać na łeb na szyję, nie trzeba zdzierać gardła przy zanurzeniu alarmowym. Radiowiec stał obok z depeszą w ręku, jak nadgorliwy kamerdyner.

Reinhardt rozsznurował taśmy zudwestki i zdjął ją z daleka od ciała, a potem wziął się za rozpinanie sztormowego płaszcza.

Zapleśnieję w tej gumie, skórach, filcach i wełnach, pomyślał. Tu trzeba dostępu powietrza. To nie jest tylko kwestia wody, mydła, ani też wody kolońskiej. Od tygodni nie zdjąłem ubrania.

Gdyby nawet w tej chwili weszła tutaj sama Marlena Dietrich, Marlena otulona tylko szlafroczkim, miękka, pachnąca i gładka, a potem wślizgnęła się do koi i kiwała na niego palcem zza zasłonki, nawet by jej nie dotknął. Wstydziliby się. To nie po ludzku.

Najpierw kąpiel. Długa kąpiel. Mydło, pumeks, proszek do zębów.

I żyłotka, oczywiście. Zgolić tę paskudną, cuchnącą kozłą brodę.

Natrzeć się wodą kolońską.

Potem dopiero można pokazać się kobiecie.

Boże, jak tu cuchnie, jęknął w duchu. Do końca życia przypuszczalnie nie tknę limburskiego sera. Jednak przyszło mu do głowy, że nawet najbardziej dojrzały i oślizgły limburger to o wiele za mało, by odtworzyć niepowtarzalny aromat okrętu podwodnego. To duszny, słodkawy smród brudnych ciał, rozkładającego się męskiego potu, zwłaszcza tego na stopach, zmieszany z ropą, gumą, kwasem akumulatorowym z zęzy, z delikatną nutą pleśni, wymiocin i amoniaku. Do tego resztki aromatu neoprenowego kleju i farby. Taki kozło-techniczny odór.

Bosman nazywał to krótko – „mokra bździna”.

– Panie pierwszy, radiogram. – Radiowiec dźgnął powietrze trzymaną w dłoni kartką, jakby chciał wepchnąć mu ją do ust. Pod rzadką jak islandzkie porosty, niedorozwiniętą bródką widać było woskową cerę i czerwone rumieńce na policzkach. Dzieci. To wszystko były dzieci. Podwodne przedszkole Północnego Atlantyku. Zapewne tak samo jak na frachtowcach i w niszcycielach Tomków. Dziecięca wojna. Ten tutaj podskakuje już ze zniecierpliwienia. „No i co? No i co? Puchatku?”.

– Cześć! – burknął Reinhardt, walcząc z guzikami zdrętwiałymi i przemarzniętymi na kołki palcami. Zdjął wreszcie ciężki jak nieszczęście płaszcz i powiesił go na kolumnie peryskopu, żeby ociekł. Radiowiec uniósł się lekko na palcach, podsuwając znowu swój świstek niczym lokaj srebrną tacę z poranną pocztą, ale Reinhardt, przysiadłszy na skrzyni z mapami, ściągał ciężkie, podbite od środka korkiem i filcem morskie buty.

– Naprawdę pan sądzi, że nasz dawca szczęścia, *Oberbefehlshaber der Kriegsmarine, Großadmiral Karl*

Dönitz, nie wytrzyma, zanim zdejmę płaszcz?

Radzik spłaszczył pod swoim złotym puchem.

– Taa... – wycedził z zadowoleniem Reinhardt, ściągając przez głowę wilgotny, sfilcowany pulower w nieokreślonym, burym kolorze. Drogi pulower z lamiej wełny, zapinany na zamek błyskawiczny aż po uszy, który jeszcze miesiąc temu był niebieski. – Właśnie tak. Spokojnie i po kolei. Nie szarpać się i nie miotać. Zawodowo trzeba, panie radio. Kuk! Co się dzieje z kawą, o którą prosiłem pół godziny temu?

– Się parzy, panie pierwszy.

– Cholerny zwierzak selcerski, gryzie tę kawę zamiast zmielić – burczał Reinhardt. – Gdzie jest mat z centrali? Co tu się dzieje? Zanieść mi to mokre gównno, jak tylko obcieknie. Rozwiesić pięknie w maszynowni. Ma być suche jak pieprz za pół godziny! Buty też! Dawaj pan ten radiogram. Nowiutki, jeszcze niedawno nawet pachnący farbą i klejami okręt typu XXI oferował rozmaite luksusy, o których na starym U-250 mógł tylko pomarzyć. Dwie toalety zamiast jednej. Prysznic. Umywalnia. Niestety, wskutek awarii odsalaczy na razie tylko teoretycznie. Można się było wykąpać, ale jedynie w słonej, pompowanej zza burty wodzie. Jednak chyba mniej tu śmierdziało. Gdyby klimatyzatory lepiej działały, może nawet powietrze można by uznać za czyste. Ale najważniejsze, że pierwszy oficer dorobił się malusieńkiego kantorka – niemalże prawdziwej kajuty, którą dzielił jedynie z czifem. Cudowne. Coś jak kibel w wagonie kolejowym drugiej klasy. Na starym VIIC miał tylko koję z zasłonką w przedziale O, jak każdy oficer pokładowy. Teraz z rozkoszą zamknął drzwiczki z udającego drewno arkusza sklejki i mógł rozkoszować się namiastką samotności.

Natychmiast założył inny pulower oraz tenisówki. Odetchnął ciężko i zabrał się do roboty. Położył kartę na małym składanym stolczku i otworzył drewniane pudło z Enigmą. Wyglądała jak przerośnięta, cudaczna maszyna do pisania. Klnąc pod nosem, Reinhardt wyszukał w wyłożonych miękkimi gniazdami cylindry szyfrujące i założył je na osie. Potem zamknął oczy, bębniąc palcami po stole, następnie spojrzał na kalendarz i w sufit, szukając w pamięci aktualnych nastaw.

– 2178, teraz kontakty: REGENBOGEN, ULLA 88 NORDPOL – zamruczał pod nosem, ustawiając oznaczone literami i cyframi pierścienie, a potem przekładając wtyczki do oznaczonych literowo gniazd. – Szlag by ich trafił, banda błaznów. Komancze w dupę jechani.

Pisał niewprawnie, kciukami i palcami wskazującymi, gryząc wygasłą fajkę i cedząc w ustnik okropne słowa. Stukał powoli, potykając się, niczym gminny urzędnik. Nie znosił tego. Mieli tu kalkę, suszki, dziurkacze i kopiowe ołówki. Walizkową maszynę do pisania „Torpedo”, zawierającą czcionkę ze swastyczką, i drugą – ze znacznikiem SS. Pływająca kancelaria pośrodku Atlantyku. Kawa się kończyła, chleb pleśniał, brakowało już aspiryny, ale spinaczy – w żadnym wypadku. Porządek musi być. Stary był prawdopodobnie szczęśliwy.

Reinhardt stukał w klawisze, nie patrząc na efekt, tylko zerkając na kartę pełną kodów, żeby czegoś nie pomylić.

Dopiero po wszystkim spojrzał na kartę z rozszyfrowanym tekstem i zmartwił.

KAPITÄNLEUTNANT ZUR SEE – to były jedyne sensowne słowa. Resztę stanowił ciąg liter i cyfr bez żadnego sensu. Potrójny szyfr. Naprawdę niedobrze. Zdecydowanie, rzeczywiście, poważnie niedobrze. Niepozytywnie. Ponuro. Bardzo złożona sytuacja. Kłopoty.

Zabrał poprzednią kartę i tę nową, po czym odsunął drzwiczki i poszedł do Starego. Ten też dorobił się lepszej kajutki w miejsce dziupli, którą musiał się zadowalać na poprzednim okręcie. O ile był jakiś poprzedni okręt, pomyślał Reinhardt złośliwie. Wszystko wskazywało na to, że jego wódz żeglował dotąd jedynie na biurku przez oceany paragrafów. Kiedy było już wiadomo, że wchodzi na nowy, oceaniczny XXI, cała załoga była absolutnie pewna, że to Reinhardt dostanie trzeci złoty pasek oraz założy nieprzepisowy, choć tradycyjny, biały pokrowiec na czapkę. Prawdę powiedziawszy, w głębi serca Reinhardt też był tego pewien.

Niestety. *C'est la vie*. Skończyło się na kawałku blachy na szyję. Taki fetysz. Coś w rodzaju kości

kazuara do wetknięcia w przegrodę nosa.

– Szyfrogram dla *Kaleu* – oznajmił Reinhardt i zapukał do kajuty. Na okręcie zapadła grobowa cisza, która przeniosła się w górę do centrali i w obu kierunkach wzdłuż kadłuba jak trujący gaz. Najpierw szepty: „szyfrogram... kapitański...”, potem zduszone przekleństwa i cisza, jakby zabił ich tymi trzema słowami.

Stary siedział, oczywiście, przy blacie swojego biurka i skrobał piórem w zeszycie. Wokół piętrzyły się papierzyska, pisma i kwestionariusze. Ścianę nad koją zdobiła wyszyta przez żonę makatka. Niebieskim kordonkiem, łańcuszkiem, w bardzo pruskim stylu. Z pewnością była tam jakaś patriotyczna, budująca sentencja, ale wisiała tak, że nie sposób było cokolwiek zobaczyć. Zakładano się o to. Fenrich Fanghorst upierał się, że to z pewnością „Boże, skarż Anglię!”. Natomiast motorzyści ustalili między sobą, że obstawiają „Naprzód, do zwycięstwa!”. Reinhardt prywatnie sądził, że raczej „Jeden Naród, jedna Rzesza, jeden *Führer*”. I pod tym wyprężony hitlerok wśród kwiatków, ptaszków i baranków.

– Słucham, Reinhardt? – Stary uniósł tę swoją bezlitosną twarz belfra od matematyki i spojrzał na Pierwszego przez okulary.

– Szyfrogram trzeciego stopnia, *Herr Kaleu* – wycedził Reinhardt. – Przyniosłem kartę i maszynę.

– Proszę postawić na stole i wychodząc, zamknąć za sobą drzwi. Przepisy, *Oberleutnant*.

– Według rozkazu.

– I... Reinhardt?

– Tak?

– Po co pan wrzeszczy na cały okręt, że dostałem szyfrówkę? To budzi tylko niepotrzebne emocje. Załoga powinna cierpliwie czekać na rozkazy, a nie się dekoncentrować. Ci, którzy nie mają wachty, mają obowiązek wypoczywać i pozostawać w gotowości.

– Tak jest – durny bucu, dodał w myślach. Zaraz powie coś o odpowiedniej postawie i żołnierskim wyczynku.

– Odmaszerować.

« » «

Reinhardt wcisnął się za stół w mesie O i napotkał ciężki wzrok czifa, który udawał, że czyta wystrzępione numery „Signala” sprzed miesiąca.

– Kuk, kawę do mesy, biegiem! – krzyknął Pierwszy. – Z cukrem i mlekiem! I gorącą jak piekło!

– Ten interes już się kończy – stwierdził czif, składając starannie pismo.

– A skąd to taki brak ducha? Dostał pan nowy, cudowny okręt, perłę niemieckiej myśli technicznej, i jeszcze przed podwieczorkiem zaczyna pan wątpić w zwycięstwo?

– Jak pan opalał się w ogródku na tarasie, dostaliśmy dwa „trzygwiazdkowe” meldunki.

– Kto?

– U-489 i U-88.

– To pewne?

– Ten sam konwój, który zrąbał nam dupę. I jeszcze samoloty.

– 489 to chyba Hagenstoss, a ten drugi?

– Korbatschek.

– Nie znałem. To jakiś nowy. Ale na 489 pływał Vogelmann. Cholera, niemożliwe. Vogelmann?! Znałem go jeszcze ze Szkoły Marynarki. Służyliśmy razem na „Scharnhörście”...

– Dwa jednego dnia! Wyobraża pan sobie coś takiego jeszcze dwa lata temu? Tak, panowie z konkurencji robią się coraz sprawniejsi. W tym tygodniu to już będzie...

– Dziesięć okrętów. Jeszcze dwa i tuzin. Cała paczka. Powinniśmy im dorzucić coś w promocji.

– Taa. Kupują już hurtowo.

– I wcale tanio. Ile zarobiliśmy na całej tej awanturze?

– My jeden i Stimmt jednego, do kupy jakieś sześć tysięcy ton.

– Ale trofea! Zaczynamy już strzelać kutry jakieś.

W przejściu obok mesy zrobiło się ciasno. Zmiana wachty na kiosku. Wszyscy w skórze i cuchnących sztormiakach, już z ręcznikami wokół szyi i z zudwestkami w ręku.

– Zmiana. Nareszcie coś zjemy – ucieszył się Reinhardt. – Stołowy, dlaczego dostaję kawę w tym blaszanym świństwie? Nie ma już filiżanek?

– Wyłtkły się – wycedził ponuro marynarz. – Podczas nalotu, melduję posłusznie. Może bym znalazł, ale kuk mówił, że się panu spieszy.

– Spieszy?! Prosiłem o tę kawę godzinę temu! Co się wyprawia na tym okręcie?

– Co pan z nim gada – zauważył czif. – Wołaj pan od razu oberkelnera. Albo lepiej kierownika sali! Reinhardt ledwo zdążył dźgnąć widelcem parującą papkę z puszkowej kaszanki z cebulą i octową sałatkę z ziemniaków, gdy usłyszał dolatujące z mesy PO komentarze:

– Przecież to śmierdzi gównem! Z puszki ta kaszanka?

– Nie, z twojej babci.

– Och, zamknij się! Zastrane głupoty!

– Pierwszy do kapitana! – zabrzmiało gromko z centrali.

– *Scheiße!* – powiedział Reinhardt.

– Na wieki wieków, amen – dodał czif uroczyście.

« » «

– Otrzymaliśmy drugą szansę – oznajmił kapitan, patrząc na Reinhardta.

Czyli urodzimy się po raz drugi?! W Kanadzie?! – przemknęło tamtemu przez głowę, ale milczał cierpliwie. Wobec *Kapitänleutnanta zur See* Waltera Rittera żadne żarciki nie wchodziły w ogóle w rachubę.

– Dobrze pan wie, jakie to szczęście. Otrzymaliśmy doskonały okręt, prosto ze stoczni, i zamiast rozbić konwój zawiedliśmy.

Rozbić konwój jednym okrętem, ty patentowany koźle?! – ryczał w myślach Reinhardt. Prawie że eksperymentalnym i skomplikowanym jak cholera? Na którym połowa tych cudownych patentów w ogóle nie chce działać?! Z bandą dzieciaków, która jeszcze niczego się nie nauczyła? Po tygodniowym rejsie szkolnym wzdłuż Norwegii? Z psującą się instalacją? Czterema uszkodzonymi torpedami? Z przeciekającym balastem?! Tamci mieli ASDIC, który wykrywał ich, jak chciał, mieli te straszne nowe wyrzutnie, które kładły cały dywan bomb głębinowych jedną serią, mieli nawet oryginalną Enigmę, mieli te przekłete elektronowe maszyny liczące, które łamały każdy szyfr. Mieli dziesiątki niszczycieli, niebo pełne samolotów, a my nie mieliśmy nawet dosyć paliwa, ty bałwanie! Zatopili dziesięciu w tym tygodniu, świński pies! Dziesięciu tylko w rejonie Lofotów!

– Tak. Zawiedliśmy. Wiem, co pan powie: jeden frachtowiec. Ale co to jest jeden frachtowiec, jeżeli przepuściliśmy ich dziesiątki? Naród odjął sobie od ust żywność. Spaliliśmy paliwo, o którym nasi towarzysze w czołgach marzą po nocach. I w zamian co dajemy *Führerowi*? Jeden maleńki frachtowiec!

„Marysia mała pierdolca miała” – zaśpiewało w głowie Pierwszego. – „Pierdolca jasnego jak śnieg...”

– Dlatego jestem szczęśliwy z naszych nowych rozkazów. Wyznaczono nam spotkanie na pełnym morzu ze statkiem zaopatrzeniowym „Oxfolt”.

„Gdziekolwiek biegła Marysia mała...”

– Tam otrzymamy zaopatrzenie, paliwo, nawet części do naprawienia tych wydumanych, mazgajskich uszkodzeń oraz dalsze rozkazy. Wracamy do akcji!

„Pierdolec rozsadzał jej łeb”. (Oklaski)

– Czy zna pan dokładną pozycję, panie *Oberleutnant*?

– Ze zliczenia, panie kapitanie.

– Co to znaczy?

Nie wiesz, co to jest zliczona pozycja, pruski, kapustożerny bawole?

– Ostatni namiar braliśmy w nocy poprzedzającej atak. Potem płynęliśmy w zanurzeniu, częściowo klucząc pod bombami, potem po wynurzeniu znaleźliśmy się we mgle, również dzisiaj ze względu na brak widoczności słońca nie można było potwierdzić namiarów. Znamy pozycję z analizy kursowej i...

– Może pan wyznaczyć kurs do podanej pozycji? Tutaj?

Reinhardt spojrział na kartkę.

– Oczywiście.

– Więc proszę to zrobić. Musimy zdążyć na jutro na czwartą rano. Da pan radę?

– Sądzę, że tak. Mogę potwierdzić to po konsultacji z pierwszym mechanikiem.

– Proszę go przysłać.

– *Herr Kaleu...* Proszę o pozwolenie przekazania krótkiego komunikatu załodze.

– Wie pan, że jestem temu przeciwny. Żołnierz ma stulić pysk i służyć, a nie politykować. Zaraz się zaczyna dyskusje.

– Jednak serdecznie doradzam. Wiem z doświadczenia, że ludzie lepiej pracują, kiedy wiedzą, o co chodzi. Spodziewali się powrotu do portu. Powinni się zmobilizować.

– Dobrze, skoro się pan upiera. Ale krótko i rzeczowo. I żadnych dyskusji.

« » «

Obiad był już niemal zimny, co gorsza, drugi oficer wymieszał swoją porcję z musztardą, produkując coś takiego, na co w ogóle nie dało się patrzeć. Wyglądało jak rzadka zawartość pieluchy.

– Czifie, ma pan iść do zarządu. Natychmiast.

– *Scheiße!* – warknął czif i wypił duszkiem resztę herbaty.

– Na wieki wieków.

« » «

Stali nad stołem nakresowym, patrząc na mapę przykrytą pełnym oznaczeń arkuszem celuloideu. Czif ogryzał w milczeniu koniec ołówka. Na czole pogłębiała mu się pionowa zmarszczka będąca wyrazem zwątpienia.

– To tylko głupie dwieście mil – zachęcił go Reinhardt. – No, powiedzże pan coś. Co pana tak martwi, czifie?

– W kolejności? Najpierw te rozchrzanione baterie. Nie ma mowy o przejściu tego w zanurzeniu na czas. Na wierzchu nadziejemy się na samolot, zanim zdąży pan powiedzieć *mamma mia!*.

– Dlatego pójdziemy na peryskopowej. Przecież ma pan cudowny wynalazek – te chrapy.

Wystawimy je i pojedziemy pięknie na dieslach.

– Te słynne chrapy też mnie martwią. Potrzepało je. Pamięta pan te bliskie bomby nad kioskiem, a potem przechył? Teraz cały czas biorą wodę. Dławiki się blokują. Jak mi się ta woda dostanie do oleju... – Pokręcił głową. – Łożyska cały czas hałasują, wał się grzeje, jeszcze te oringi... To najmniejszy problem. Przeciek usuniemy pompą zęzową do zbiornika wyrównawczego i za burte. Trym się utrzyma jako tako. Kwas już kazałem zneutralizować, wypompujemy hurtem.

– A paliwo?

– To jest główny problem. Cały czas gubimy. Dużo mniej niż przedtem i nawet wiem już, któredy. Uszczelniliśmy jak się dało, ale środkami pokładowymi... – Znowu powątpiewający gest głową. – Altenberg tłucze w chrapy i może coś z tego będzie. Dojść dojdziemy. Martwi mnie co innego. To nie jest miła okolica.

– Wiem – przyznał Reinhardt. – Jeszcze ta cisza radiowa...

– Przypuśćmy, że dojdziemy tylko po to, żeby dowiedzieć się, że tego mitycznego „Oxfolta” kupiła już konkurencja. Co wtedy?

Reinhardt pokiwał głową.
– Do Trondheim na wiosłach.

« » «

Dopóki było jasno, Reinhardt siedział za peryskopem, kręcąc się jak na karuzeli. Lewo, prawo, unosił głowicę wyżej – na krótko, żeby zerknąć między falami – i z powrotem nisko, tuż nad wodę.

Należało się spodziewać niszczycieli, dozorowców, nawet ścigaczy.

Kilka razy minęli maszt na horyzoncie, sterczący pomiędzy falami jak odległa tyczka do grochu.

Co jakiś czas akustyk unosił głowę, przytrzymując palcem słuchawki.

– Szumy śrub z SW, daleko. Oddalają się. Chyba niszczyciel.

Reszta załogi wolnej wachty siedziała w kojach. Nie bardzo nawet rozmawiano. W dziobowym torpedyści bez przekonania grali w skata, ale raczej dla zamanifestowania, że mają wszystko gdzieś.

Ritter się nie naprzykrzał. Siedział w swoim kantorku i wypisywał niekończące się sprawozdania. Ze zużycia torped, zapotrzebowania na części zamienne, protokoły awaryjne. „Mam mnóstwo pracy. Poradzi pan sobie?”.

„Na wojnie najważniejsza jest sprawozdawczość. Bez tego nie ma porządku”.

Z kolei czif nie wychodził z maszynowni, obserwując z troską swoje diesle, sprawdzał co chwila smarowanie i z marsem na czole spoglądał na wskaźniki temperatury i obrotów, i patrzył na lśniące osie wałów.

Łożyska wału grzechotały, ale się kręciły. Co dziesięć minut włączali na chwilę pompę zęzową, usuwając to, co naciurkało przez różne nieszczelności.

Jakoś płynęli.

Pod wieczór Reinhardt zszedł z centrali, nakazawszy utrzymywać nasłuch radiowy i akustyczny, i usiadł w mesie, żeby napić się herbaty. Trochę liczył na to, że będzie pusta. Rzadko się to zdarzało, ale na XXI i tak było luźno. Przynajmniej w porównaniu z tym, co się działo na poprzednich okrętach. Niestety, w samym kącie siedział lekarz okrętowy, ponury Austriak, który, zdaniem Reinhardta, był słabo zaleczonym alkoholikiem, i Ritter. Lekarz usiłował czytać postrzępiony kryminał, a kapitan patrzył nieruchomo w gródź, splótszy palce na blacie stołu. Zawsze tak było. Siedział i gapił się przed siebie. Nigdy nie czytał, nie bardzo rozmawiał, jadał też zawsze na osobności. Reinhardt przez całe życie nie spotkał drugiego takiego sztywniaka. Ritter zawsze, w dzień czy w nocy, był tak oficjalny, że aż nieprawdziwy. Do tego wszystko, nawet najpotworniejsze propagandowe brednie, które oficerowie czytali sobie nawzajem, rycząc ze śmiechu, traktował absolutnie serio. Nie dało się nawet ustalić, czy jest taki głupi, czy tylko udaje.

Kiedyś Reinhardt usiłował zgadnąć, jak stary jest Stary. Od lat na okręcie podwodnym oficer, który przekroczył trzydziestkę, uważany był za wiekowego. Sam Reinhardt, który miał trzydzieści pięć – sam środek Conradowej „smugi cienia” tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki – uchodził za jakiegoś matuzalema. Marynarze mieli i po dziewiętnaście lat. Ale Ritter wyglądał na co najmniej pięćdziesiąt. Skąd się wziął? Skąd przybył i dokąd zmierzał? Nie wiadomo.

Gdyby służył na *U-Bootach*, Reinhardt powinien go znać. Sam był jednym z ostatnich „asów wilczych stad”. Służył od mata do Pierwszego.

– Panie pierwszy?

Reinhardt drgnął i oderwał wzrok od kubka z herbatą. Niechętnie. Podnieść oczy w tej chwili oznaczało patrzeć na martwą, belferską fizjonomię kapitana, a gdyby zerknąć jeszcze wyżej, nieuchronnie spoglądało się na wiszącą na grodzi, oprawioną w szkło fotografię Gröfaza. Na innych okrętach w mesie wisiały portrety egzotycznych piękności, jakieś alpejskie widoczki albo fregaty pod żaglami czy tropikalne wyspy. Tutaj gapił ci się w talerz Największy Wódz Wszech Czasów ze swoim kretyńskim wąsikiem i wbita na oczy, zbyt dużą czapką. Obok smutnym wzrokiem głodnej małpki patrzył Dönitz z odstającymi na boki uszami. To stanowczo odbierało

apetyt.

– Kiedy znajdziemy się na pozycji „Oxfolta”?

– Godzinę przed czasem, jeżeli nie będzie kłopotów.

– Proszę przygotować listę członków załogi, którzy mogą zejść z okrętu.

– Słucham?!

– To dalszy ciąg rozkazu, którego szczegółów nie musi pan znać. Proszę opróżnić z ludzi dwa przedziały dziobowe. Zabierzemy kilka osób, które zamieszkają w przedziale torpedowym. Płyniemy dalej ze szkieletową załogą. Trzeba zostawić co najmniej piętnaście, a najlepiej dwadzieścia osób. Zejdą na „Oxfolta” i wrócą z nim do bazy.

– *Herr Kaleu*, to wyklucza prowadzenie boju zaczepnego. I tak okręt nie jest obsadzony. Bez torpedystów...

– Nie będziemy prowadzić działań zaczepnych. Nasze zadanie będzie inne. Musi pan wiedzieć tylko tyle, że załoga ma być jak najmniejsza i że na pokład wejdzie kilka osób. Będą traktowane jak pasażerowie specjalni.

– Ilu?

– Mniej niż dziesięciu, ale muszą mieć odpowiednio dużo miejsca i będą przewozić też ładunek. Kilka dużych skrzyń. – Kapitan uniósł się i przecisnął obok stołu. – I, Reinhardt...

– Tak?

– Na okręcie mają zostać tylko prawdziwi Aryjczycy.

– Słucham?!

– Słyszał pan. Pan ich lepiej zna. Rozkazy są jasne. Żadnej skażonej krwi. Żadnych mieszańców, *Mischlingów*, jestem pewien, że co najmniej kilku to w jednej czwartej Słowianie, Żydzi albo jeszcze jakieś inne bydło. Ma pan oczyścić okręt i nie dyskutować. Co to jest, na przykład, za nazwisko: „Boditschek”?

Nie wiadomo, skąd przyszła mu do głowy obłądana myśl, by odpowiedzieć: „To nazwisko Boditschka, *Herr Kaleu*”, ale zamilczał.

– To *Sudettendeutsch*, kapitanie. Z Marianenbadu.

– Wszystko jedno. Będę u siebie. Proszę kazać podać mi tam kolację o dziewiątej.

Kiedy Ritter zasunął drzwi, Reinhardt wezwał bosmana.

– Dwudziestu ludzi to wszystko, na co możemy sobie pozwolić – powiedział. – Zostaw pan tyłu, ilu się da. Proszę wybrać do spisania z pokładu przede wszystkim żonaty, szczególnie od niedawna, i tych, co mają jakieś dzieci, o których wiedzą. No i takich, którzy są do niczego. Głupi albo wypaleni, albo ze zszarganymi nerwami. Muszę mieć jakąś załogę pokładową, muszę mieć motorzystów i palaczy. Na tej luksusowej trumnie co rusz wszystko się psuje. I muszę mieć artylerzystów. Może pan oddać część „lordów”. Proszę przyjąć, że będziemy w takim razie robić trzy wachty zamiast czterech.

– Zrobi się – powiedział bosman, drapiąc się pod czarną furazerką, która siedziała na jego wielkiej, łysej głowie niczym zawiązek na ziarnie bobu. – Spiszemy Houdiniego, Głuchokrzykacza i Himmericha, i... Utter się ożenił, i...

– Niech pan zrobi listę i przygotuje im karty urlopowe. Nie muszę tego w tej chwili wiedzieć. Przecież nie będę się żegnał z każdym z osobna.

Potem poszedł siedzieć w centrali, ale po godzinie machnął ręką. Sternik sterował, akustyk nasłuchiwał, gdzieś dookoła pojawiały się czasem okręty, ale raczej daleko.

– ASDIC-ów to się pan *Oberleutnant* może nie obawiać – mówił pierwszy sternik. – Oni mogą namierzać tylko do dwunastu węzłów, a my robimy teraz czternaście. Za szybko idziemy. Robimy czternaście węzłów. Jeżeli będą chcieli nas gonić, to stracą namiar. Chrap na radarze też nie zobaczą, bo za duża fala. W razie czego sprawdzimy, jak działa ta... niby... buna, co to niby pochłania ultradźwięki i radar, i wszystko. Ta dzidzia jednak zupełnie nieźle chodzi. Pan się położy, panie pierwszy. Od wczoraj pan na nogach. Gdyby co, będziemy budzić.

Reinhardt podrapał się w głowę, a potem postanowił rzeczywiście zejść na dół. Dla spokoju

sumienia poszedł jeszcze zobaczyć, co się dzieje w maszynowni.

Potem zjadł kolację, mimo że nie miał apetytu. Wmuszał w siebie chleb, suchą kiełbasę i sardynki, ale myślami był zupełnie gdzie indziej. W świecie niedobrych podejrzeń. Pasażerowie, ładunek, potrójny szyfrogram...

Rejs do Ameryki, Boże uchowaj? Z ładunkiem szpiegów albo dywersantów?

Raczej nie chodzi o to odwieczne *idée fixe* z rejssem do amerykańskiego wybrzeża i zatapianiem im statków w portach, bo kazali oddać torpedystów. A zatem szpiedzy.

Dlaczego nie?

To chyba lepsze niż samobójcze ataki na konwoje. „Znaleźć! Zatopić! Zawsze naprzód! Jak Blücher pod Katzbach!”. Ach, bzdury. I lanie za każdym razem. Czuf miał rację. Ten interes już się skończył. Każdy mógł to jasno zobaczyć, gdyby tylko miał olej w głowie. Kiedy zaczynamy tracić, to trzeba wstawać od stołu. A to właśnie oznaczała utrata Afryki, Włoch, Normandii, Rosji, Grecji, Polski... Patrząc tylko, jak będziemy się bić o stację *S-Bahnu* w Berlinie. Każdy to widział, tylko nie ci durnie. A te konwoje? Atakując konwoje, Reinhardt czuł się teraz jak pies szczekający na pociąg, a nie straszliwy wilk Atlantyku.

Wlazł do swojej kajutki i położył się.

« » «

Nie miał pojęcia, co go zbudziło. Łoskot powietrza szasującego balasty? Tupot nóg? Czy dopiero blaszane „czszuum!” fal tłukących o kiosk.

Zerwał się na nogi.

– Co się dzieje?! Meldunki!

– Trochę się przejaśniło, na chwilę. Okazja gwiazdy strzelać, panie pierwszy. Drugi oficer poszedł z sekstanssem na pomost. Będziemy mieli pozycję.

Reinhardt rozmasował zdrętwiałe policzki i powieki, jakby chciał wepchnąć do środka oczy. Póki się nie kładł, jakoś to jechało. Po trzech godzinach snu czuł się po prostu chory.

Wsunął nogi w grubych, sfilcowanych skarpetach w buty i namacał wiszącą na grodzi ciężką, skórzaną kurtkę podbitą filcem. Znalazł jeszcze wełnianą czapkę i poczłapał do centrali.

– Jeden na pomost?

– Można!

Zdażył tylko postawić nogę na szczeblach drabinki.

Wszystko wydarzyło się naraz.

Najpierw operator radiolokatora wrzasnął:

– Lotnik! Nadchodzi! Kierunek dwieście! Osiem mil!

Równocześnie rozległ się wrzask: „Alarm!”. Drugi oficer zjechał mu po poręczach zejściówki prosto na głowę, za nim mat z centrali. Jazgot dzwonnka zlał się z krzykiem zbierającego się z pokładu centrali Reinhardta.

– Zanurzenie alarmowe!

Mat wisiał już na korbie rygla i zamykał właz, woda waliła z góry jak z wodospadu.

– Cała naprzód! Sternik – ostro w prawo! Ster dwieście! Wszyscy na dziób! – wrzeszczał Reinhardt. Okręt przechylił się wyraźnie na dziób. Otworzyła się jakaś szafka, coś wywróciło się z hukiem i potoczyło po podłodze. W mesie O z brzękiem posypały się jakieś naczynia. Okręt klasy XXI umiał wejść awaryjnie pod wodę w osiem sekund.

Słychać było, jak syczy powietrze wypychane ze zbiorników, skrzypi i jęczy kadłub, jak brzęczą silniki elektryczne. Okręt pochylił się na burzę, wykonując najciaśniejszy z możliwych skręt. Prosto pod nadlatujący samolot. Tak jest najbezpieczniej. Skrócić dystans. Niech hamuje, niech robi zwroty, niech wyrzuci go poza obszar ataku.

– Poszły dwie – oznajmił akustyk uroczystym tonem. Wszyscy przysiedli odruchowo, chowając głowy w ramionach. Reinhardt przytrzymał się tylko barierki.

Zapadła cisza.

Widzieli je. Na wewnętrznej stronie zaciśniętych powiek. Tak wyraźnie, jakby każdemu otworzyło się trzecie oko. Dwa obłe, lśniące kształty, które wbijają się coraz głębiej w atramentowoczną wodę, ciągnąc warkocze fosforyzujących bąbelków powietrza. A potem zamieniają się w upiorne, małe słońca i rozdierają toń pęcherzami zgazowanej wody.

Pierwsza eksplozja spadła nagle, jak uderzenie topora. Przerażliwy łomot, światło zamigotało, ktoś wrzasnął.

– Spokój! – ryknął oburzony Reinhardt. – Przecież to nic nie jest! Kompletne pudło!

– Przeciek pod kolektorem szasu awaryjnego!

Kolejny grzmot. Okręt przebiegły fale wibracji, potem wstrząs, słychać było grzechot, z jakim podrzuciło podłogowe gretingi. Zapadła ciemność.

– Przedział maszynowy daje wodę!

– Bez hysterii! Jak tak można!

Zapłonęło niebieskie światło awaryjne.

– No i tyle – oznajmił Reinhardt. – O co tyle wrzasku? Rąbnął w pianę pozanurzeniową. Po najmniejszej linii oporu. Zejść na sto osiemdziesiąt. Kurs sto dwadzieścia. Panie Wichtelmann, dlaczego stanowiska oerlikonów nie były obsadzone? Mogliśmy zdjąć tego drania.

– Kazałem wynurzyć tylko na chwilę, *Herr Oberleutnant* – tłumaczył drugi oficer. – Tylko żeby zdjąć namiary.

– I wystarczyło – skonstatował Reinhardt. – Już nie możemy nawet pokazać głowy na tym morzu? Aż niewiarygodne, co za pech. Wziął pan te namiary przynajmniej?

– Zdążyłem.

– Zostaniemy pod wodą jeszcze pół godziny. Potem wrócić na peryskopową i przejść na diesle.

– Ale jakim cudem w nocy? Przecież nie mógł nas zobaczyć! – indyczył się ktoś w przedziale podoficerskim.

– Człowieku! Oni od dawna mają radary w samolotach! Nie do wiary, jak można być takim wołem! Zajrzyj sobie w dupę i zobacz, czy tam jeszcze jesteś!

– Reinhardt, co się dzieje? Proszę o meldunek. – Ritter otworzył drzwi i wkroczył mężnie na plac boju. Brzęknęły bezpieczniki i znów zapłonęło światło.

Pierwszy westchnął.